

# 1

## PROLOG I PRELUDIUM

Wstaję od stołu zarzuconego zapiskami i podchodzę do okna.

Ulicą idą dziewczyny i chłopaki, boso, pomimo psiego gówna i szkła. Boso, choć stać ich na sportowe samochody. Taka to już w Greenwich Village moda na nieokiełznane dzieci natury.

Silę się na myślowy czy uczuciowy, a może trafniej i modniej, egzystencjalny przeskok do kraju i do innej epoki. Wówczas, prawie pół wieku temu, biedni chłopci chodzili na mszę niedzielną na bosaka, a buty wzuwali dopiero przed samym kościołem. Tylko w wojsku nosili je od rana do nocy, „na piątek i świątek”. Jakież to musiało być wspaniałe uczucie: stale paradować w państwowych butach bez obawy, że się zedrą.

Żyję w świecie tak odmiennym, że tamte czasy, choć sam je oglądałem i, jak mawiał pan Zagłoba, *magna pars fui* [odgrywałem wielką rolę], wydają się tyle odległe od współczesności, co przygody wawelskiego smoka. Tu ludzie za dużo jedzą, mają nadmiar ubrań i butów, zimą za ciepło w mieszkaniach, latem za chłodno, i nudzą się...

Kiedyś na przyjęciu przy gościach, Polakach wyznania katolickiego i mojżeszowego, ktoś tak podsumował dyskusję:

- Jak by nie było, w Polsce żyło się ciekawiej. Ktoś inny zareplikował:- To prawda, tylko bilet na to przedstawienie był bardzo drogi.

W pokoju jest chłodno, przyjemnie, cicho szumi klimatyzator, a ja usiłuję przypomnieć sobie, jak to było w Warszawie latem 1944 roku. Pamiętam nagłówki gazet i gazetek z tamtych czasów: „Warszawa płonie”, „Warszawa w ogniu”, „Pożoga nad Warszawą”, „Warszawa w walce”, „Warszawa walczy”, „Warszawa na barykadach”. Jednak najsilniej utkwiał mi w pamięci napis -"Warschau brennt" [Warszawa płonie] pod fotografa lotniczą miasta zasnutego dymem. Odtąd nie opuszczała mnie myśl, by coś o Powstaniu napisać. Może odezwie się ktoś, czyj los jest mi nieznanym.

Przez szereg lat pamiętałem szczegółowo, kiedy kogo trafili. Kto pił, kto co kradł lub, jak to już zaczęto mówić, szabrował. Kto się bał, a kto nie, kto się bił, a kto nie. Kto przeżył i wrócił z obozu jeńców obwieszony orderami.

Powstaniec z mojej kompanii, siedemnastolatek, który, choć niczym się nie wyróżniał, dzielnie się trzymał i ranny był z granatnika, ucieszył się wielce, spotkawszy mnie po wojnie. Zdziwił się niezmiernie, że nie mam *Virtuti Militari*. On sam otrzymał to najwyższe odznaczenie, tak przynajmniej twierdził, retroaktywnie w obozie jeńców w Niemczech.

Po każdym takim spotkaniu byłem gotów chwycić za pióro. Nagle, po iluś tam latach, może dziesięciu, zauważyłem, że tego i owego nie mogę sobie przypomnieć. Było już za późno na pisanie kroniki. Nie robiłem żadnych notatek, gdyż dobra pamięć zawsze mi dopisywała, i przeliczyłem się. Tak minęło trzydzieści lat.

Gdy wspominam Powstanie, widzę kolegów jak na starej fotografii. Płowięją z roku na rok i myślę, że czas coś o nich napisać i o sobie, zanim i ja stanę się tylko fotografa. W pierwszych latach po wojnie ich twarze wciąż żyły, były smutne, przerażone, wściekłe, śmiały się, krzywiły, piły, klęły, nawet płakały. Ale z upływem czasu, coraz to mniej i mniej.

Podobno ongiś księżyc wirował szybko wokół swej osi, ukazując ziemi coraz to inne oblicze. Miliony lat mijały, a księżyc zwalniał coraz bardziej, aż zamarł i teraz zwraca ku nam tylko jedną twarz, jak na fotografii.

Na przykład Tom: pamiętam jego przerzedzone włosy i smutne, wpadnięte oczy, tak jak go widziałem ostatni raz na noszach. Staram się wyobrazić sobie, że Tom się śmieje lub je, natężam całą siłę woli - na próżno, wciąż ten sam obraz: smutne, zapadnięte oczy.

Albo Stasiek - Barykada: wysoki postawny, korpulentny, piegowały blondyn z fajką w zębach. Próbuję przywołać jego twarz z głębin czasu, zmusić ją, aby ożyła na chwilę i przemówiła, ale cały wysiłek na nic, wciąż tylko piegi i fajka.

Albo Rysiek, pseudo Wilit, uzbrojony po zęby w angielskiego stena, niski, czarniawy, zacięty. Do hełmu LHD [[LHD skrót od Lufthilfsdienst - pomocnicza służba przeciwpożarowa](#)] przyczepił z tyłu brązowe frędzelki. Nie bał się. Im gorzej się działo, tym groźniej wyglądał. Ilekroć wspominam Ryśka, pojawia się zacięta twarz z profilu, pasek pod brodą i frędzelki.

Z półmroku mej pamięci wynurzają się jeden po drugim ci cwaniacy z warszawskiego przedmieścia. Myślę sobie, że gdyby naprawdę byli takimi cwaniakami, za jakich się uważali, nie skończyliby, dwudziestoletni, w bezimiennych dołach.

Z setek powstańców, z którymi zetknąłem się, w mej pamięci

zachowały się tylko strzępy: szczegół twarzy, uzbrojenia, munduru, rana, bandaż, wydarzenie, powiedzenie. Z przemijaniem czasu te luźne okruchy bądź to przyciągały się, łączyły i zrastały, tworząc nowe postacie, bądź też bladły, zamazywały się i rozplywały.

Z pamiętnikami to nie takie proste. Przyjaciele doradzają: pisz, jak pamiętasz, całą prawdę. A naprawdę to było tak: ogień, dym, kurz, huk, nurkuje, biegnie, strzela, pada, wstaje, nie wstaje, podjeżdża, odjeżdża, widać, nie widać. Panzerwagen [*Panzerwagen* – wóz pancerny, *Nebelwerfer* – wyrzutnia raketowa (od nazwiska konstruktora Nebela), *Sturmgeschütz* - działko szturmowe, *Sprenggranat* - granatnik, *Tiger* - czołg, ciężar 55 ton (tygrys), *Panther* - czołg, ciężar 45,5 tony (pantera), *Flak* - artyleria przeciwlotnicza, *Pak* -artyleria przeciwpancerna, *Heinkel* - bombowiec, *Sztukas* - nurkowiec, *Goliat* - mały czołg bez załogi, wypełniony materiałem wybuchowym, zdalnie sterowany i detonowany przy pomocy kabla, *Messerschmitt* - myśliwiec], Nebelwerfer, Sturmgeschütz i Sprenggranat, Tiger, Panther, Flak i Pak. Dorzucając heinkla, sztukasa, „goliata”, meserschmita, grubą Bertę i tasując te kilkadziesiąt słów w niezliczoną ilość kombinacji, można odmalować całą panoramę Powstania widzianą z lotu ptaka.

Pamiętniki Speera odebrały mi na jakiś czas odwagę do pisania. On oglądał drugą wojnę światową z lotu jastrzębia, ja z marszu mrówki. Kogo zaciekawia przeżycia mrówki, która potyka się o byle ziarnko piasku i nie widzi poza najbliższe źdźbło trawy?

Od szóstego czerwca 1944 roku, gdy Anglosasi wylądowali w Normandii, oczekiwano końca wojny jeszcze przed żniwami, a nie jak zwykle po żniwach. Pod koniec czerwca pękł niemiecki front na dalekiej Białorusi. Padały nazwy miast znane z „Potopu” Sienkiewicza, a obok nich, z dodatkiem *für Führer und Vaterland* [*za wodza i ojczyznę*], nazwiska poległych niemieckich generałów. Ludzie wiedzieli z doświadczenia, że każda ofensywa zwalnia po paru tygodniach i ustaje. Ta jednak zdawała się nabierać coraz większego pędu. Tymczasem życie w Warszawie płynęło normalnie. Patrole gęsto krążyły po mieście. Kwitł szmugiel żywności. Uliczne łapanki niemal ustały, za to zamachy na niemieckich agentów chyba się nasiliły. Szły transporty do Oświęcimia, a w ruinach getta nocami, bez rozgłosu, rozstrzeliwano. Ale od wielkiej ulicznej „rozwałki” po zabiciu generała SS Kutschery w lutym 1944 roku jego następcą Geibel zaniechał publicznych egzekucji.

Wieczorem ludzie pochyleni nad mapami wtykali szpilki w coraz to

nowe czarne kropki miast, w miarę jak front przesunął się coraz bliżej. Jedną z nielicznych pożytecznych stron niemieckiej okupacji była obfitość tanich i dobrych map. Przychodziły wieści z Normandii, że amerykańskie bomby starty na miążgę ostatki niemieckich rezerw. Po zamachu na Hitlera 20 lipca nawet pesymiści przestali wątpić, że wojna skończy się przed żniwami.

Jak dotąd front miał coś z bajki - „za siedmioma górami i siedmioma rzekami”.

Nagle w drugiej połowie lipca stało się coś niesamowitego. Zaczęli uciekać. Warszawa kipiała radością. Któż mógł przewidzieć, że te półtora tygodnia to było tylko *preludium allegro e molto vivace* do *danse macabre et funebre* Powstania.

Zaczęli uciekać, najpierw cywile: rajchsdojcz *[Rajchsdojcz - Niemiec posiadający obywatelstwo Trzeciej Rzeszy, Folksdojcz - Niemiec lub osoba deklarująca się jako Niemiec, ale nie posiadająca jeszcze obywatelstwa Trzeciej Rzeszy, Baltendojcz - Niemiec z krajów bałtyckich, Sztamdojcz - człowiek mający niemieckich przodków]*, folksdojcz, sztamdojcz, ostdojcz, baltendojcz, koloniści, faszyści, białogwardziści, kolaboracjoniści. Na chłopskich wozach, wychudzeni, zakurzeni, z tobołkami i dziećmi, byle prędej, byle na zachód. A z nimi pomieszane tabory niemieckie, węgierskie, własowskie. Za cywilami pomknęli dystryktlajterzy *[Dystryktlajter, krajslajter, becyrkłajter, ortlajter - tytuły niemieckiej administracji terytorialnej, polskie odpowiedniki - wojewoda, starosta itd.; Wohnungsamt - urząd mieszkaniowy zajmujący się głównie przesiedlaniem i wysiedlaniem, Arbeitsamt - urząd pracy zajmujący się głównie zsyłką ludzi do pracy przymusowej w Niemczech]*, becyrkłajterzy, krajs-lajterzy, ortslajterzy, burgmajsterzy, trojhenderzy, Wohnungsamt i Arbei-tsamt.

Potem zaczęli ładować się na samochody i pociągi: Sicherheitspolizei *[Sicherheitspolizei (Sipo) - policja bezpieczeństwa, Geheimstaatspolizei - Gestapo, Kriminalpolizei (Kripo) - policja kryminalna, Ordnungspolizei (Orpo) - policja porządkowa, Schutzpolizei (Schupo) - policja ochronna, Hilfspolizei - policja pomocnicza, Bahnschutz - straż kolejowa, Werkschutz - straż fabryczna, Selbstschutz - oddziały samoobrony, Grenzschutz - straż graniczna, Hitlerjugend - związek młodzieży hitlerowskiej, Sturmabteilung (SA) - oddziały szturmowe, Sonderdienst - oddziały do zadań specjalnych, Baudienst - służba budowlana]*, Geheimstaatspolizei, Kriminalpolizei, Ordnungspolizei,

Schutzpolizei, Hilfspolizei, Bahnschutz, Selbstschutz, Werkschutz, Grenzschutz, Hitlerjugend, Sturmabteilung, Sonderdienst i Baudienst.

Jak dotąd, Warszawa widziała tylko marsz i ucieczkę na wschód.

Niemieckie dzielnice, policyjna i rządowa, prawie opustoszały. Następnie zwały się niedobitki, Węgrzy, bez pasów, bez broni, bez czapek, ale w dobrych humorach, bardzo przyjaźni. Księżęcą w dół szedłem za Węgrem, który mijanych Polaków pozdrawiał okrzykiem „serwus”, a jego towarzysz wtórował mu, wołając „kaput”. Inny Węgier na placu Trzech Krzyży opowiadał niemczyzną tak łamaną, że mogłem zrozumieć prawie każde słowo, jak to jechał motocyklem z kolegą na tylnym siodełku, a Ruski wyskoczył zza krzaka i dźgnął kolegę bagnetem. Zanosilo się, że straszna okupacja będzie miała sielankowe zakończenie.

Godzina policyjna kończy się o szóstej. Piękny ranek, błękitne niebo, wychodzę na ulicę, rozglądam się, czy aby nie łapią. Wciągam rześkie powietrze od Wisły, a tu ktoś biegnąc woła, że Niemców nie ma i już koniec okupacji i konspiracji, jakby śnieg nocą stopniał.

Podczas gdy w Berlinie zastanawiali się jak utrzymać Warszawę, a w Moskwie, jak zdobyć Warszawę, Komenda Główna Armii Krajowej w konspiracyjnych lokalach, za spuszczonej firankami, głowiła się jak i tym, i tamtym pokrzyżować plany.

Potem zaczęli wracać: Sipo, Schupo, Orpo, Kripo, Gestapo, SD, SA, a z nimi werkszuce, banszuce, lajterzy, Wohnungsamt i Arbeitsamt. Czołgi dywizji „Herman Goering” pojawiły się na ulicach i jechały na wschód. Zaroilo się od własowców.

Ostatniego dnia lipca stałem na Krakowskim Przedmieściu przy placu Zamkowym. Mostem Kierbedzia na zachód maszerowała piechota, żołnierze zakurzeni, jakby dopiero co ukończyli bój. Szli krokiem niespiesznym, niemal niedbałym, jak na Niemców, ale tak równym, że słońce jednym błysnięciem załamywało się w fałdach spodni, gdy setki kolan naraz unosiły się w górę. Z bronią, z erkaemami na ramionach, w czapkach, bez hełmów; bił od nich spokój, lekkość i siła.

Dwadzieścia lat później oglądałem film „Bitwa o Algier”. Jest w nim scena, w której francuscy spadochroniarze wmaszerowują do miasta. Od razu przypomniał mi się ten ostatni dzień przed Powstaniem i długa kolumna Niemców skręcających z Nowego Zjazdu w Krakowskie Przedmieście.

W 1942 roku na warszawskim dworcu zatrzymywał się na krótko pociąg pośpieszny z napisem: „Berlin-Posen-Kutno-Warschau-

Lublin-Rowno-Human-Dnepropetrowsk". Potem linia zaczęła się skracać i jedna nazwa po drugiej od tyłu wypadała, aż Lublin znalazł się na samym końcu. W dniach poprzedzających Powstanie nawet kolej podmiejska dojeżdżała tylko do Anina czy Radości. Otwock był już za granicą.

Powstał niesamowity kołowrotek. Głównymi ulicami miasta jechały na wschód czołgi, piechota maszerowała na zachód, a rosyjskie patrole kręciły się wokół przedmieść Pragi.

Pięć dni przed Powstaniem gubernator Fischer nakazał przez megafony uliczne, aby sto tysięcy osób stawilo się do budowy umocnień polowych. W odpowiedzi płk Monter - komendant AK na Warszawę - nie pytając o pozwolenie zwierzchników, natychmiast zarządził mobilizację armii podziemnej w Warszawie, co według regulaminu równało się powstaniu. Jak się wkrótce okazało, krewki pułkownik i inni podkomendni zupełnie ponieśli swego dowódcę generała, jak znarowiony koń kiepskiego jeźdźca.

Choć na wezwanie Niemców do kopania rowów nikt się nie stawil, nieoczekiwanie natychmiastowych represji nie było. Elektryczna kolej nadal kursowała linią otwocką. Ludzie wysiadali na ostatniej stacji, szli na spacer w pobliskie lasy, by pogwarzyć z rosyjskimi żołnierzami i pokrzepieni na duchu wracali do Warszawy. W każdym razie tego rodzaju opowiadania krążyły po mieście. Wśród komentarzy tej niezwyklej sytuacji były i takie, że Wehrmacht maszeruje na zachód, bo nie chce się bić, jedynie czołgi SS jadą na wschód, a Rosjanie cicho siedzą czekając na kapitulację Niemiec. O Hitlerze opowiadano, że tuzinami rozstrzeliwuje swoich generałów, że jest sparaliżowany, że od wybuchu bomby ogłuchł, oślepl, oszalał i zgłupiał doszczętnie, że nie żyje, a jego miejsce zajął sobowtór.

W połowie lipca rodzina moja wyjechała na wakacje pod Grodzisk. Każdy pewnie pamięta, co to znaczy mieć puste mieszkanie do własnej dyspozycji w wieku dziewiętnastu lat. Można leżeć na łóżku i czytać, nikt się nie czepia, że spodnie się gniotą lub wzrok się psuje, i w ogóle, czego dusza zapragnie.

Kolega szkolny, Jurek, wiedząc że poza mną nikogo nie ma w mieszkaniu, poprosił o pozwolenie na urządzenie punktu wypadowego, na co oczywiście przystałem. Przez dwa dni tysiące akowców stłoczonych w prywatnych mieszkaniach z bronią lub bez, czaiło się do skoku na Niemców, po czym nagle Powstanie odwołano. Mnie w udziale przypadło czaić się bez broni przy ulicy Łuckiej w mieszkaniu kolegi z działonu armatek szybkostrzelnych 20

mm, tapicera, któremu rano oczy nie chciały się otworzyć a wieczorem zamknąć, aż sobie wypił. Niech służy to za dowód dyscypliny, że pomimo iż mieszkanie obfitowało w wyborowe wódki, nie doszło do picia. Była w tym zasługa żony tapicera, tlenionej blondynki, która czuwała, aby mąż nie dobrał się do kredensu, gdzie pod kluczem stały butelki. Inny żołnierz działonu, współwłaściciel nielegalnej bimbrowni na Mokotowie, niewiele starszy ode mnie, był już zaawansowanym alkoholikiem. Szwagier tapicera, pseudo Zychler, też tapicer, także lubił pociągnąć. Było więc możliwe, że przedłużające się ostre pogotowie, przy dochodzącymi spoza Wisły huku dział, mogło się przerodzić w libację ku czci zwycięstwa i na pohybel Niemcom.

Zgromadziło się nas dziewięciu: dwóch tapicerów, ich kuzyn Orzeł, Hutnicki z Puławskiej, współwłaściciel bimbrowni, Sław z Chałubińskiego, wszyscy w stopniu kanoniera, czyli szeregowego. Poza tym byłem ja - bombardier, czyli starszy strzelec, kapral Jur z Pragi i plutonowy z Żoliborza, którego pseudo zapomniałem. Obok na Łuckiej i w najbliższej okolicy zakwaterowały się inne działony. Ppor. Lew, uprzednio Hak, wpadał od czasu do czasu. Pojawił się i sam dowódca dywizjonu, chudy, wysoki blondyn, nieprzystępny, którego dotąd spotkałem zaledwie parę razy.

Musieliśmy być już nie w drugim czy trzecim, ale w jakimś dalszym rzucie, skoro nas w ogóle nie zapoznano z jakimkolwiek planem akcji. Do naszych obowiązków należało jedynie natychmiastowe uruchamianie działek 20 mm, zdobytych przez piechotę. Uważałem, że w pobliżu znajdują się inne uzbrojone jednostki, które wystąpią w naszej obronie na wypadek, gdyby Niemcy zaczęli przeczesywać dom za domem. Zbiórki, odliczanie, meldowanie zajmowały stosunkowo niewiele czasu, resztę wypełnialiśmy rozmowami.

Ku ogólnemu zaskoczeniu pogotowie odwołano po dwóch dniach. Wróciłem więc z Łuckiej do własnego mieszkania. Zastałem tu jeszcze grupę Jurka, niemrawo zbierającą się do wyjścia. Wśród konspiratorów rozpoznałem gimnazjalnego kolegę B., który cieszył się opinią roztargnionego filatelisty. Ze względu na wysoki wzrost B. zawsze siedział w tyle klasy, opierając o ścianę swą wielką, kędzierzawą głowę. Zwykle zadumany, wpatrywał się okrągłymi jak spodki oczyma gdzieś w siną dał. Ilekroć przerwano mu tok myśli, mrugał długimi rzęsami, uśmiechając się przyjaźnie. Nieraz, gdy jego nazwisko padło w czasie lekcji, wyglądał, jakby go nagle zbudził ryk krowy na łące. W czasie okupacji nowy duch w niego wstąpił. Ze

sprzedaży znaczków pocztowych, mówiono, utrzymywał całą rodzinę. Parę razy widziałem go u zbiegu Szpitalnej i placu Napoleona pod ścianą, gdzie wystawiali handlarze złotem.

Na rozgrzewkę przed walką B. przyniósł butelkę koniaku, który rozlano do szklanek. Zaledwie wychylono toast za zwycięstwo, wszyscy zaczęli się krztusić i sinieć. Okazało się, że B. w pośpiechu omyłkowo włożył do teczki skoncentrowane krople waleriana na czystym spirytusie, używane do uspokajania kobiecych nerwów.

Grupa chwilowo straciła wartość bojową, która i tak była niska, jako że tylko porucznik posiadał rewolwer.

Choć miasto zaroilo się od wracających umundurowanych Niemców i własowców, mój dom pozostał w dwóch trzecich pusty. Białogwardzista z czwartego piętra z synkiem Igruszką, którego nasze dzieci nazywały Gruszką, zniknął. Folksdojcz, pijak, żonobijca - sąsiad na tym samym piętrze - także się wyniósł. Rodzina małej dziewczynki, Alice, na którą rodzice po Stalingradzie znowu zaczęli wołać Alusia, uciekła.

Godzina policyjna zaczynała się o ósmej. Dziwnie wyglądały puste, oświetlone zachodzącym słońcem ulice Szara i Rozbrat. Zapadła noc, dla wielu przedostatnia pod okupacją.

Warszawa jest miastem, co to ledwie się otrząśnie, wyprostuje pióra, a już znowu zbliża się jego ostatni dzień przed tym czy owym.

Rozległo się pukanie. Otworzyłem drzwi. Zamiast Wojtka, którego oczekiwałem, w progu stały sąsiadki z dołu - folksdojczki - w towarzystwie niemieckiego porucznika. Przed paru laty zajęły one mieszkanie po kapitanie, którego syn poległ w 1939 roku. Obie młode, przystojne siostry gościły często niemieckich oficerów. Jak zwykle grzecznie poprosiły o skorzystanie z telefonu. Własnego nie miały, widocznie w ich zawodzie tak było wygodniej. Porucznik zadzwonił do dowództwa SS, jego rozmówca odłożył słuchawkę na chwilę i nie zgłosił się więcej. W warszawskim systemie telefonicznym można było się rozłączyć tylko wtedy, gdy obie strony zawiesiły słuchawki. Po kwadransie czekania, kiedy telefon wciąż był zablokowany, wytłumaczyłem oficerowi, że słuchawka na drugim końcu linii musi być odłożona. Porucznik powiedział, że to jest niemożliwe, to znaczy nie wierzył, żeby na drugim końcu drutu był bałagan. Cierpliwie czekał i czekał. Po pół godzinie wyszli, a telefon wciąż był zablokowany.

Miasto obiegały tysiące wieści o froncie, o kryzysie w Niemczech, o Normandii. Sytuacja zmieniała się tak szybko, a front był tak blisko,



że wiadomości z prasy podziemnej, nie mówiąc o niemieckiej, były przestarzałe. Dziś słyszałeś huk armat, a za trzy dni mogłeś sobie przeczytać, kto do kogo strzelał i z jakim skutkiem. Najlepsze źródło informacji, radio, było Polakom wzbronione. Posiadanie radioodbiornika karano śmiercią, tak samo jak słuchanie go, rozpowszechnianie wiadomości radiowych oraz tajenie przed władzą niemiecką informacji o tych, którzy posiadają, słuchają i rozpowszechniają. Zresztą kara śmierci była prawie za wszystko i za nic.

Spośród pięćdziesięciu dwóch mieszkań w moim domu większość stała pusta. Uprzywilejowani, uciekając w popłochu, mieli ważniejsze kłopoty niż zabieranie radia na zachód. Bez radia wiedzieli, że jest źle.

Wydawało się, że w naszej klatce schodowej nikt nie pozostał poza Wojtkiem i mną. Najbliższy sąsiad, drzwi na wprost moich drzwi, folksdojcz pijak, miał zwyczaj włamywać się do własnego mieszkania, ilekroć żona bała się go wpuścić. Najpierw wyzywał ją przez zamknięte drzwi, potem walił pięścią dla postrachu, wreszcie kopał, aż drzwi ustąpiły; zgodnie z zasadą głoszoną przez Führera, że siłą weźmie to, czego odmawia się po dobroci. W końcu kobieta krzyczała i szlochała, gdy ją karciał za nieposłuszeństwo. Siostry folksdojczki z dołu wzywały parę razy Orpo czy Kripo. Raz nawet interweniowali Niemcy zamieszkali na klatce schodowej, z gestapowcem Felske na czele. Zwykle odbywało się to późną nocą. Nikt z Polaków nie reagował na te awantury, czekaliśmy, aż ucichnie, aby wrócić do spania. Za wtrącanie się do bitki pomiędzy Niemcami można było pojechać do Oświęcimia, albo i gorzej.

Podobno jeszcze niedawno w Syjamie za dotknięcie członka rodziny królewskiej karano śmiercią. Zdarzyło się, że młoda królowa, płynąc łodzią po stawie przed pałacem, wpadła do wody. Żołnierze ochrony, stojący obok, bali się ją ratować i utonęła.

Polska policja nie miała prawa mieszać się w waśnie między Niemcami. Niemiecka policja również nie wtrącała się, jeśli jeden Polak mordował drugiego Polaka bez użycia broni palnej i bez szkody dla mienia niemieckiego. Przekazywała to policji polskiej, która także nie wtrącała się. Więzienia były wypełnione politycznymi i niewinnymi, dla kryminalistów nie było miejsca.

Mieszkanie naprzeciw znałem dobrze, gdyż dawniej wynajmowali je państwo Liedtke; ich syn Jurek był moim kolegą gimnazjalnym. W 1942 roku został aresztowany. Gestapo obiecało panu Liedtke, który

nie tylko nosił niemieckie nazwisko, ale także był protestantem, zwolnić syna, jeśli podpisze volkslistę. Nie podpisał, Jurek nie wrócił. Liedtków wysiedlono. Mieszkanie po nich dostał pijak. Kto jak kto, ale on, uciekając, na pewno nie zabrał ze sobą radia.

Wojtek i ja, upewniwszy się, że oprócz nas nikogo nie było na klatce schodowej, przystąpiliśmy do akcji. Listwa od drzwi odstawała, zamek ustąpił pod nożem i oto pierwszy raz w życiu włamałem się, i to do Niemca. Plądrowanie cudzych mieszkań daje przedsmak odkrywania i podbijania nieznanych łądów, stąd ten dreszczyk. Po ciemku odszukaliśmy radio.

Bełkotało niewyraźnie po niemiecku, nawet słowa trudno było odróżnić. Trzeba też było nasłuchiwać kroków z podwórza, by wymknąć się w porę. Folksdojcz i jego żona od tygodnia nie dawali znaku życia. U sióstr było ciemno i cicho. Jedyne pozostały Niemiec na naszej klatce schodowej, gestapowiec Felske z parteru, wracał z pracy o różnych porach dnia i nocy; należało uważać na niego. W napięciu spędziliśmy długie minuty na próżno kręcąc gałkami, by się dowiedzieć czegoś o froncie, który można było w ciszy nocnej usłyszeć i zobaczyć z dachu domu. Ani rosyjskiego, ani polskiego komunikatu nie udało się nam złapać.

Strych był naszym punktem obserwacyjnym od kilku dni. Tej nocy, tak jak i poprzednich, panowała absolutna cisza. Na zachód za ogrodami Frascati, w ciemności leżało miasto na pozór bez życia - bez świateł, bez hałasu, bez ruchu, bez gwaru. Nawet bez przysłowiowego echa kroków nocnych patroli. Zapewne niewielu ludzi spało. Każdy mówił i myślał o froncie. Na wschód za linią budynków znajdowało się koryto Wisły, dalej ledwo widoczne przez lornetkę skupisko domów po drugiej stronie rzeki i czarna przestrzeń bez końca. Z rzadka błyskało tam, gdzie niewidoczna ziemia schodziła się z gwiazdzistym niebem.

W mej wyobraźni front przestał być zwykłą linią okopów najeżonych lufami. Wprost przeciwnie, nabrał cech istoty żywej, pełnej groźnego uroku - nieodgadnionej przyszłości, końca świata, początku nowego życia. Jakby smok olbrzymi zaległ w ciemnościach poza lasami wawerskimi i od czasu do czasu łypał ku nam ślepiami.

Nazajutrz był pierwszy sierpnia 1944 roku. Ten najważniejszy dzień Warszawy zaczął się pogodnie i spokojnie. W ostatnich dwóch stuleciach historii Polski „ważny” równało się „tragiczny”. Łatwo sobie wyobrazić, co może znaczyć najważniejszy.

Około dziesiątej rano ktoś zastukał do drzwi. Oczekiwałem Wojtkę

z wiadomościami z radia, a przede mną stał nie znany mi czternastolatek. Sam wszedł do środka. Domyśliłem się o co chodzi i zamknąłem za nim drzwi.

- Chciałbym mówić ze starszym strzelcem Krokiem - zameldował się i spytał, czy mam dla niego rozkazy. Został przydzielony do mojej dyspozycji jako łącznik przez dowódcę baterii podporucznika Lwa.

Ppor. Lew do niedawna używał pseudonimu Hak. Szczupły i blady, wyglądał chorowicie, mówił cicho, nic więc dziwnego, iż wszystkich ubawiło, gdy na konspiracyjnej zbiórce odczytano rozkaz, że odtąd ppor. Hak będzie zwał się Lwem. Kilku członków mojego działu mieszkało na Mokotowie. Miejsce zbiórki w razie alarmu pozostało to samo, na Łuckiej. Na wszelki wypadek wziąłem adres łącznika i poleciłem mu czekać w domu na dalsze rozkazy. Mieszkał tuż obok, na Czerniakowskiej, w kamienicy przylegającej do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Działon jest to obsługa jednego działka. Dwudziestomilimetrowe szybkostrzelne działka przeciwlotnicze miała dla nas zdobyć piechota Armii Krajowej. Gdy piszę te słowa, uprzytamniam sobie, iż nie szkolono nas w obsłudze dział rosyjskich. Widocznie dowództwo AK uważało, że łatwiej będzie zdobyć armaty rewolwerami na Niemcach niż dostać od Sowietów w podarunku.

Gdy leżąc czytałem, na ulicy rozległy się krzyki i tupot podkutych butów. Rozbratem biegli podtatusiali SA-mani, zwani żółtkami od jasnobrunatnych mundurów. Padło kilka strzałów, żółtki pędziły z powrotem na Górnośląską. Zabawnie wyglądali w odwrocie, otłuszczone zady w luźnych portkach nie nadały w szybkim biegu za głową i nogami. Wkrótce uspokoiło się.

Przybycie łącznika zaalarmowało mnie, więc nie wychodziłem z domu oczekując następnego. Wróciłem na łóżko do przerwane go czytania.